

UPADEK BESTII



SPALONA ZIEMIA

SPALONA ZIEMIA



CIE NIE NAD STETRIOLEM

Chmury zasnuły całe niebo, zasłoniły księżyc i gwiazdy. Nie była to noc, którą podziwiałoby się z zachwytem.

Gdyby jednak spojrzeć na dachy Stetriolu, można by zauważyć przemykające po nich cienie, postacie, które przycupnęły na murach niczym gargulce. Oraz młodego człowieka stojącego na szczycie budynku jak wiatrowskaz. Twarz ukrył pod bladą maską z rogami. Poły jego ciemnego płaszcza łopotały na wietrze. Niezauważony przez nikogo, patrzył na ulice, zaglądał w okna domostw – na książki ustawione na półkach, na ciepło rodzinnego ogniska, jedzenie na talerzach, ogień, napoje.

Tajemnicza postać wyprostowała się i sprężystym krokiem przeszła po dachu pokrytym gontem, tuż za nią unosił się nadymany wiatrem płaszc, który pod niebem pozbawionym koloru wyglądał na czarny. Ale kiedy młodzienc przystanął i padło na niego światło migoczących

latarni, ustawionych na chodnikach i dziedzińcach, materiał błysnął czerwienią.

Stetriol tętnił życiem, jak rzadko w ostatnich latach. Miasto odzyskało stabilny puls, kamienne serce biło, puk, puk, puk, równo z sercem młodzieńca, z jego krokami. Ulice jakby płynęły pod jego stopami, gdy ze zwierzęcą gracją przeskakiwał nad sklepowymi markizami i dachami domów, aż znalazł ten, którego szukał. Zatrzymał się przy kominie i przykucnął, a rogi jego maski na moment zabłysły w świetle księżyca, ale zaraz i one, tak jak cała postać, zniknęły w cieniu.

Na dziedzińcu w dole, na brzegu fontanny przysiadła dziewczyna. Jej długie, niemal białe blond włosy splecione były niczym korona. Moczyła beztróska nogi w płytkiej wodzie, po której pływała duża łabędzica o piórach kolorem przypominających promienie słoneczne odbijające się na śniegu. Ukryte pod maską oczy chłopaka – nieludzkie, z poprzecznymi źrenicami jak u barana – otwarły się szeroko na widok zwierzęcia. Młodzieniec wychylił się pod nienaturalnym kątem, zauroczony ptakiem, który sunął z gracją po powierzchni wody.

Czyli plotki były prawdziwe.

Ninani przybyła do Stetriolu.

Pióra łabędzicy i włosy dziewczyny rzucały bliźniacze plamy bladego światła na ściany dziedzińca, na ich w mroku przygaszone barwy – zielenie, błękity oraz szarości. Towarzyszka zwierzęcia otworzyła książkę i za-

częła mu czytać na głos. Miała miękki i słodki głos, jej słowa zagłuszał nieco delikatny szum wody chlupoczącej między jej stopami.

Kątem oka młodzieniec zobaczył jakiś ruch. Inna postać okryta płaszczem pojawiła się na stromym dachu po drugiej stronie dziedzińca, mignął mu zarys maski kojota. Skowyt. Nowo przybyły przestąpił z nogi na nogę. Na ziemi był nie do pokonania, lecz nie czuł się komfortowo na wysokościach.

Skowyt, przywitał się pierwszy w języku migowym.

Mocny, odparł drugi odpowiednim gestem.

Trzecia odziana w płaszcz sylwetka wyskoczyła z ciemności z prawej strony Skowytu, na jej skrywającej twarz masce widniał dziki uśmiech. Ruszała się tak gładko, że nawet jej nie zauważył.

Cień.

Dziewczyna przywitała się od niechcenia. Jej zakrzywione i ostre jak u kota paznokcie błyszcząły.

Cała trójka przykucnęła na dachu i zamarła jak górujące nad dziedzińcem kamienne posągi, które otaczały dziewczynę i jej zwierzoducha. Ta jednak czytała dalej, jakby nieświadoma ich obecności. Skowyt przeniósł nieco ciężar ciała na drugą stronę.

Co dalej?, wymigła *Cień*, jej palce poruszały się leniwie w powietrzu.

Młody człowiek w masce z rogami – *Mocny*, jak go nazywali – zmrużył oczy i dał znak:

Zawiadomcie Króla.

Cień zatoczyła palcem koło nad głową. Znak rogów był taki sam jak korony. A właśnie tak go nazywali. *Korona*. Był drugim po monarsze. Lecz gest ten sprawiał, że czuł się niekomfortowo, bo jego lojalność wobec władcy była niezachwiana, dlatego też wołał, kiedy mówiono do niego po prostu Mocny. Od „mocno stąpający po ziemi”.

Machnął ręką na przytyk Cienia.

Tymczasem dziewczyna na dziedzińcu zamilkła. Chciała przewrócić stronę, lecz książka wyslizgnęła się jej z dłoni. Odruchowo chciała ją złapać, ale tomik odbił się od śnieżnobiałych kolan i z pluskiem wylądował w fontannie. Łabędzica się nastroszyła i zaczęła machać skrzydłami.

– Ups – mruknęła pod nosem dziewczyna, wyciągając przemoczoną książkę z wody; trzymała ją za róg okładki i patrzyła, jak krople ściekają po stronach. – Nie mów o tym ojcu.

Odrzuciła ją na bok zamaszystym ruchem i książka z miękkim plaśnięciem wylądowała na skraju fontanny.

Skowyt wstał i chciał przestąpić z nogi na nogę, ale się poślizgnął.

Dachówka poluzowała się pod jego butem i zaczęła spadać, podskakując po drodze. Chłopakowi udało się uchwycić komina i uchronić przed upadkiem, lecz nie zdołał złapać dachówki, która zsunęła się do krawędzi budynku i nieuchronnie zbliżała się ku dziedzińcowi. Mocny cofnął się i oparł o cegły, przygotowując na ude-

rzenie, ale Cień rzuciła się naprzód, wygięła z gracją swoje elastyczne ciało i złapała koziółkującą płytkę pazurzystymi paznokciami, zanim ta spadła i rozbiła się o bruk.

Okruchy zaprawy opadły z dachu miękko niczym śnieg.

Cienie wstrzymały oddech.

Łabędzica zamarła.

Dziewczyna uniosła głowę, lecz ponad latarniami było zbyt ciemno, żeby mogła coś zobaczyć.

– Co to było? – zapytała cicho.

Obie z łabędzicą wychyliły szyje. Dziewczyna zmrużyła oczy i niemal dostrzegła zarys sylwetki, krawędź maski...

– Tasha! – zawołał ktoś z głębi domu i wytrącił ją ze skupienia.

Dziewczyna spojrzała na fontannę i dom za swoimi plecami.

– Pewnie to jakiś ptak – powiedziała. – Albo mysz. Lub wiatr.

Pomachała nogami nad wodą i przejechała palcami po jej tafli.

– Chodź, Ninani – rzekła łagodnie.

Łabędzica przez chwilę łopotiała skrzydłami, unosząc je, jakby chciała odlecieć, po czym zniknęła w rozbłysku światła. Wówczas na bladej skórze dziewczyny pojawił się czarny, jakby wykonany atramentem rysunek, który przedstawiał majestatycznego ptaka i oplatał jej rękę od nadgarstka aż po łokieć.

Zeskoczyła z fontanny i pobiegła do domu, zostawiając za sobą mokre ślady.

Tasha. Czyli tak się nazywała.

Po chwili zniknęła. Cień podniosła się i wyprostowała jak kocica. Jej zwykle zielone oczy były teraz czarne; źrenice rozszerzyły się w słabym świetle. Spojrzała na Skowyt ostrym wzrokiem, jakby chciała przesyć go na wylot. Mogłoby się wydawać, że lada chwila rąbnie go dachówką w głowę.

– Idiota – syknęła.

– Nie zostaliśmy stworzeni do biegania po dachach – ryknął na nią.

– Starczy – uciął Mocny niskim i pewnym głosem.

Skowyt i Cień wstrzymali oddech, jakby mieli jeszcze coś do powiedzenia, ale Mocny, unosząc wymownie dłoń, kazał im milczeć.

Usłyszeli jakiś dźwięk. Jakby szuranie bosych stóp po bruku.

Ujrzeni przebiegającą przez dziedziniec Tashę, która wracała po książkę pozostawioną na brzegu fontanny. Zatrzymała się w pół drogi, bo zahaczyła o coś kostką i niemal upadła, ale zdołała utrzymać równowagę. Złapała przemoczoną książkę. Ścisnęła ją, żeby wyžąć ostatnie krople, i odwróciła się w stronę domu, po czym zniechęciła się.

Zawahała się. Rzuciła okiem na dachy i rozciągające się nad nimi nocne niebo.

– Tasha! – odezwał się ten sam co wcześniej głos.

Dziewczyna znów zniknęła w głębi domu.

Na dziedzińcu zapanowała cisza. Mocny dał sygnał dłońią. Był to cichy rozkaz do odwrotu. Cień odłożyła dachówkę na najbliższy komin i razem ze Skowytem zniknęli w ciemności. Dowódca obserwował ich przez moment bystrymi złotymi oczami, po czym ponownie spojrzął na dziedziniec, gdzie mokre ślady stóp zaczynały powoli znikać.

Tasha.

Dowiedzieli się, gdzie jest.

Gdzie jest Ninani.

I jeszcze tu wrócą.

Mocny obrócił się i ruszył za swoimi podwładnymi, by po chwili również rozpląnąć się w mroku.